XIII. [i.e. XIV] Kraków, 1 marca 1911. Nr. 5.

„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przesyłką pocztową 2 korony, 2 marki 25 fen., 1 rbs. 25 kop.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV. ul. Nowowiejska 83 (Dom własny), **Telefon Nr. 479.**
W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem:
Biuro G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.



— Sądzę, iż pani nie robi sobie nic z tego, iż moje nazwisko brzmi może trochę nieestetycznie...
— Ależ i owszem! Podpisz je pan tylko na wekslu, a przekonam się, czy ono jest co warte!...

Z notatek astronoma.

Ilekroć spojrzę przez dziurkę od klucza do pokoju mojej narzeczonej, bawi mnie to bardziej i zajmuje niż wszelkie *spostrzeżenia w obserwatoryum.*

Spotkałem wczoraj mego przyjaciela. Służy przy wojsku. Znakomite połączenie *Marsa i Wenery.*

Wczoraj skonstatowałem, że u mnie w kuchni *wschodzą gwiazdy* dopiero koło północy. Dzieje się to z tego powodu, iż moją kucharkę o tym czasie odwiedza zwykle znajomy kapral. (Ona powiada, że to brat, tylko po innym ojcu!).

Ze zmartwienia piję czasami wieczór zanadto wiele piwa. Gdy powracam do domu wydaje mi się, iż kamienice znajdują się *w ruchu rotacyjnym.*

Dokoła mojej Hani krążą różni faceci, niczem *księżyc koło ziemi*.

Ilekroć byłą moją narzeczoną odwiedził znajomy porucznik, w pokoju jej nastawało *zupełne zaćmienie.*

U kobiet straciłem wszystkie względy, być może dlatego, iż głowa moja przypomina zupełnie *księżyc w pełni.*

Uspokoił ją!

— Zdzisiu! Ty zanadto późno wracasz teraz z reguły do domu! W tem coś jest... Niewątpliwie wchodzi tu w grę jakaś panienka!

— O! Mama myli się grubo! Tak lekkomyślnym nie jestem... jeśli mam stosunek, to tylko z zamężną kobietą!

Znalazła się w kropce.

Mąż: W tamtym tygodniu złapałem cię z porucznikiem, dziś znowu z kapitanem!...

Żona: Z tego widzisz, żem się więc przecież poprawiła!

Zacna familia.

Pani domu: Kasiu! spostrzegłam, że ty masz stosunek z lokajem Stefanem!

Pokojówka (nieśmiało): Bardzo przepraszam! Ja nie chciałam wcale jaśnie pani robić konkurencyi!...

W świętem oburzeniu.

(Z podwórza koszarowego).

Kapitan: Psiakrew hołota! Zbieranina z całego świata! Małpy zatracone!... Ofermy!... Wy nie jesteście godni, aby wami dowodził kapitan! Wam wystarczy pierwszy lepszy osioł!... (po chwili): Panie poruczniku, proszę objąć komendę!...



Z Wiednia.

(Korespondencya „Bociana").

Stał się u nas straszny szum,
Zatrwożony biegał tłum,
Na głowie mu stawał włos,
Kto żył, ten zatykał nos...
Bo wiedeński poczuł lud
Niebywały dotąd smród
I przelękły w jeden chór
Wołał: dżuma, mór!

Trzy dni całe trwał ten strach,
Aż i na smród przyszedł krach.
Znowu z lasów, pól i błoń
Nadpłynęła świeża woń,
Więc radości wionął wiew,
Wszędzie słychać radość, śpiew,
Tylko każdy pyta z nas:
Co to było, „was war das?"

Więc komisyę wysadzono
I na niej fakt ustalono,
Że smród, który wszyscy czuli,
Roznosiła woń cebuli,
Płynąca od delegacyi
Szynkarsko-żydowskiej nacyi,
Co przybyła jęczeć z racyi
Wyrzucenia z propinacyi.

Na odchodnem.

— Kasiu! Ja wrócę dziś późno wieczorem do domu!... Sprzątnij zawczasu lichtarz z przed łóżka pani i schowaj dobrze pogrzebacz...

Kłopoty lowelasa.

Z Zosią mam się *drugiego* tego miesiąca spotkać po raz *trzeci*, ze Stefcią *czwartego* po raz *pierwszy*. Boję się, bym się nie pomylił!

Mania, która zajętą jest *w składzie węgla* i innych materyałów opałowych, żąda *letniego* kapelusza, Józia, kasyerka w *letniej* cukierni, *zimowego* kostyumu! I jak ja to sobie mogę wszystko zapamiętać!...

Hela *co tydzień* wymaga tyle, ile ja zarabiam w całym roku, Hania wypowiedziała mi znajomość na *kwartał* przedtem, a Jadzia zawiadomiła mnie listownie, że jak co *miesiąc* o tym czasie, przyjąć mnie nie może.

Klasyczne porównanie.

Pan radca, dajmy na to X., znany i ceniony w Krakowie mecenas sztuki, zaprosił do siebie na wieczór słynnego tenora, który raczył miłościwie osiąść na starość w naszym grodzie. Po kolacyi, gdy goście bawili się w najlepsze, pani radczyni poprosiła *maestra* aby zechciał coś zaśpiewać.

— Bardzo chętnie! — odparł zagadnięty — Boję się jednak, że o tak spóźnionej porze może to być przykrem dla sąsiadów!

— O! Niech pan sobie z tego nic nie robi! — odpowie na to gospodyni. — Nasi sąsiedzi mają psa, który swem szczekaniem budzi nas przez całą noc ze snu!...

Mistrz podobno nie śpiewał wcale tego wieczora!...

Głupi przesąd.

— Kaziu! Czy wiesz, że jesteś moim trzynastym narzeczonym?... To jest przecież feralna liczba!

— Czy boisz się śmierci?

— Nie... właśnie czegoś przeciwnego!...

Ach, ci mężczyźni!

— Nie! doprawdy! Ci mężczyźni, to są nie do zniesienia! Każdy z nich chciałby być naszą *pierwszą miłością*, a żąda, aby go tak kochać, jak potrafi tylko *doświadczona kobieta!*

Daktyloskopia.

— Nie zapieraj się nieszczęsna! Zdradziłaś mnie! Przed chwilą był u ciebie bankier Kohn!

— Ależ, jesteś w błędzie mój drogi!...

— Nie! Nie zaprzeczaj! Poznaję to po tłustych odciskach palców na twym gorsecie!...

PORWANIE.

(HUMORESKA).

Jeśli pan Antoni kochał ogromnie pannę Dziunię, to jeszcze bardziej bał się jej rodzicieli, których sam wygląd mógł najdzielniejszego rycerza przyprawić o febryczny skurcz łydek, objawiający się przedewszystkiem tem, co pospolici ludzie nazywają szpetną ucieczką, a nieustraszeni jenerałowie wszelakich armii umiejętnem cofaniem się po dawnej linii pochodu...

Pan Antoni krótko ale dosadnie scharakteryzował całą rodzinę swej bogdanki. Ona sama, ta słodka Dziunia, była dlań najrozkoszniejszym snem ze wszystkich dotychczasowych snów jego życia, od Boga przeznaczonym na rzeczywistość, noszącą nazwę żony. Jej matka, pani Klemencya, w oczach pana Antoniego przybierała kształty mitologicznej hydry, choć z tą różnicą, że zamiast stu głów posiadała sto języków i to znakomicie wytresowanych. Ojciec Dziuni robił znów na naszym bohaterze takie wrażenie, że na jego widok odrazu przypominał się panu Antoniemu ustęp z ballady wielkiego Adama: „a zbójców było dwunastu"...

Wobec takiego stanu rzeczy nikt nie może wziąć za złe panu Antoniemu, że choć miał odwagę zakochać się w pannie Dziuni i wyznać jej swą gorącą miłość, to jednak w żaden sposób nie mógł zdobyć się na tyle czelności, aby stawić czoło „hydrze stujęzycznej" i „dwunastu zbójcom w jednej osobie"...

Panna Dziunia nie miała mu też za złe tego braku odwagi cywilnej, choć sama z rodzicielami swymi obcowała bez lęku a przed matką nie miała żadnych tajemnic.

Eo ipso „stujęzyczna hydra" doskonale wiedziała, co dzieje się w sercu pana Antoniego i jaką obawą przejmuje go myśl urzędowych oświadczyn, ale bynajmniej nie starała się tej obawy zmniejszyć. Przeciwnie, podsycała ją jeszcze, szepcząc w duchu:

— A to dureń! sam się złapie i to tak pysznie, że już umknąć z klateczki nie potrafi...

Sytuacya zwyż określona trwała już trzy tygodnie od chwili, gdy pan Antoni po raz pierwszy wyszeptał pannie Dziuni drżącym głosem wyznanie swej miłości i nawzajem z ust jej usłyszał cichutkie „ja też kocham", a zapewne byłaby dłużej trwała, gdyby nie to, że „stujęzyczna hydra" po krótkiej konferencyi z „dwunastu zbójcami w jednej osobie" zawezwała przed swe oblicze pannę Dziunię i w zamkniętym szczelnie pokoju odbyła z nią dłuższą tajemniczą naradę, której skutek jawny okazał się w postaci bileciku, zaadresowanego do pana Antoniego.

...„Najdroższy!" — brzmiała treść bileciku — „czekam dziś na ciebie wieczorem koło szóstej tam, gdzie zwykle. *Dziunka*".

* * *

W ogródku okalającym jednopiętrową willę, w której mieszkali rodziciele panny Dziuni, skryta w kąciku wśród gęstych krzewów róż i bzów altanka, była miejscem schadzek zakochanej pary...

I teraz czekała w niej panna Dziunia na swego kochanka, który z bohaterskim wysiłkiem przelazłszy przez żelazne sztachety, oglądnął się wkoło, jak zając ścigany przez charty, a widząc, że na horyzoncie niema żadnej złowróżbnej chmury, zniknął jak senne widziadło w cieniach altanki.

— Ukochana!...

— Najdroższy!...

Po pierwszem powitaniu panna Dziunia zrobiła bardzo poważną minkę i westchnęła żałośnie:

— Ach!..

— Co ci jest najdroższa? skąd ten smutek? — pytał troskliwie pan Antoni.

— Skąd mój smutek? i ty jeszcze pytasz się o to? — rzekła gorzko panna Dziunia — trzy tygodnie już mija od chwili, gdy wyznaliśmy sobie naszą miłość i sprawa krokiem nie ruszyła się dalej!... a ja... ja... jabym tak chciała być już... twoją! twoją na zawsze!...

Pan Antoni wpił swe usta w drobne rączki panny Dziuni.

— Najdroższa! aniele mój! — szeptał — a ja, ja jakżebym pragnął doczekać się tej chwili! Ale wiesz, ty sama wiesz najlepiej, że na wszystkobym się odważył, ale prosić o twą rękę rodziców, to przechodzi moje siły... Na to ja się nigdy nie zdobędę!...

— Możnaby tego uniknąć — rzekła cichutko panna Dziunia, spuszczając wstydliwie oczęta.

— Uniknąć? a to jak?...

— Wiesz?... porwij mnie!!...

— Co? porwać ciebie?!...

— Tak! tak! — tłumaczyła gorączkowo panna Dziunia — porwij mnie, potem ja napiszę do nich list, wyznam wszystko. Klamka zapadła, obawa skandalu i tym podobne historye zmuszą ich do pozwolenia na nasz ślub, ba! słówka ci nawet nie powiedzą, żeby cię nie odstraszyć od ożenienia się ze mną!...

— No... to jest... tak! istotnie ty masz racyę!... — mówił przekonany już pan Antoni —



U fotografa.

Pan Kamil, chcąc nareszcie raz ugruntować swoją pozycyę społeczną i otworzyć sklep, do którego od lat kilkunastu tak serdecznie wzdychał, korzystając z nadarzającej się sposobności i końca karnawału, poprowadził do ołtarza leciwą wprawdzie ale posażną Eulalię, która swem wianem miała się przyczynić do zrealizowania jego marzeń. Rzecz prosta, że bezpośrednio po ślubie, młoda para udała się do atelier fotograficznego, aby mieć trwałą pamiątkę tej wzruszającej chwili.. Artysta fotograf ustawił oboje przed wylotem aparatu, nadając szczególniej młodej (?!) oblubienicy ponętną pozę, co mu jednak poszło nader ciężko, następnie zaś zwrócił się do pana młodego z następującą uwagą:

— Teraz baczność!... Proszę, niech pan dobrodziej myśli chwilkę o posagu!...

W zapale.

— Jak to ten czas prędko leci, moja Haniu! Anim się spostrzegła, a tu mam już skończone dwadzieścia dwa lat!

— A ja dziewiętnaście!

— E...! Nie chwal się moja droga! Ty masz przecież już dwadzieścia sześć, bo jesteś o rok młodsza odemnie!...

Nieszczęście!

— Co widzę! W miesiąc dopiero po ślubie i pan sam we Wenecyi, bez żony!

— Ha! Cóż robić?... Nieszczęście, mój łaskawco! Musiałem żonę zostawić w Tryeście, gdyż urodziła mi zdrowego chłopaka, aby się zaś bilet nie zmarnował, pojechałem sam... Po powrocie opowiem jej wszystko szczegółowo!...

Z reduty prasy.

Pomiędzy gośćmi na ostatniej reducie prasy zwracała między innemi uwagę piękna para, on młody i rosły, ona także w kwiecie wieku i pełni sił młodzieńczych. On bawił ją rozmową, od czasu do czasu pozwalał sobie nawet na dość pieprzne dwuznaczniki, ona przyjmowała je w milczeniu, uśmiechając się tylko, lecz nie mówiąc ani słowa.

Wreszcie młodzieniec rozpoczął wspominać o jej posagu.

— Pfe! Nie bądź pan nieprzyzwoitym! — odrzekła panienka z irytacyą i odwróciła się odeń ze wstrętem.

ZE LWOWA.

Nasz Battaglia ukochany,
W tingel-tanglach dobrzę znany,
Niezrównany mistrz kankana,
Zdolny wsiąknąć kosz szampana,
Nową żądzę w sercu chowa,
Chce być radcą miasta Lwowa.

Więc w „Wieczornej" swej „Gazecie"
(Pies by czytał takię śmiecię!)
Każę pisać w tej bibulę
O aktorach bardzo czulę,
Bo do blizkich już wyborów
Trzeba głosów mu aktorów.

Pan Glass, co był recenzentem,
Oburzeniem wiedzion świętem,
Rzekł: „Tak piszę mości panie,
„Jak mi każę przekonanię.
„Świnia ten, który w krytycę
„Głos udziela politycę".

Za to pan Battaglia mści się —
Rzekł Glassowi: „Wynoś mi się!
„Znam ja takich draniów kupę,
„Co mi, gdy chcę, wlezą wszędzię,
„W politycę jam nię chłystkiem,
„Mój interes przedewszystkiem!"

I wyleciał Glass z „Wieczornej",
Jako nie był dość pokorny.
A Battaglia na wstyd Lwowu
Wejdzię w Radę dla połowu.



Rozmowa rodziców.

(Dramat w jednej odsłonie).

Osoby:

Mąż, stary pantofel i niedołęga.
Żona, jeszcze wcale niczego kobiecina.

Scena I. i ostatnia.

Żona: Wiesz, mój staruszku, nasza Kazia jest już w tym wieku, iż wartoby się oglądnąć za mężem dla niej.. Możeby tak zaprowadzić ją na bal...

Mąż: Kiedy to nie jest bardzo bezpiecznem dla młodej panienki! Bałbym się o nią!

Żona: W takim razie odnajmijmy jeden z naszych pokoi jakiemuś młodemu kawalerowi...

Mąż: To znów mogłoby być niebezpiecznem dla ciebie..

(Żona rzuca na męża jadowite spojrzenie).

(Zasłona spada).

Pewny siebie.

Kokotka: A czy jesteś pewny, że nie przeszkodzi nam tutaj twoja żona...

Pan domu: Nie obawiaj się kotku! Moja żona wygłasza właśnie na kongresie dla równouprawnienia kobiet swój trzygodzinny referat, o obowiązkach mężczyzny względem poślubionej mu kobiety!...

Niestety, tak się dzieje.

— No, i dokądże w podróż poślubną?

— Moja żona jest za Włochami, teściowa za Paryżem...

— A ty?

— Mnie się jeszcze nie pytano o zdanie!

Myśl krakowskiego donżuana.

— Ja tam twierdzę, że wielcy panowie i panujący to są szczęśliwsi od nas zwykłych śmiertelników i zawsze się im lepiej niż nam powodzi. Król Manuel miał stosuneczek z europejskiej sławy śpiewaczką i to kosztowało go tylko *koronę*, ja wczoraj jednej panience ofiarowałem *dwie korony*, a ona mi powiedziała, że jestem świnia i brudny skąpiec!...

Dobry interes.

Do znanego w Krakowie lichwiarza, pana Arona, przychodzi młody adept sztuki malarskiej i prosi go, czyby nie zechciał pożyczyć mu kilkanaście koron na zastaw jego obrazu. Pan Aron oglądnął dokładnie dzieło sztuki (gdyż i na tem zna się doskonale) i powiada:

— Nu... gdyby ten obraz miał ramy — to jabym może i dał coś, ale bez ram, to nie! Możeby pan jednak chciał, to ja panu sprzedam tanio bardzo fajne ramy... kosztują tylko *trzydzieści koron*, choć warte są trzy razy więcej..

— A ile mi pan wówczas za niego może dać?

— Nu... *całe dwadzieścia koron!*

Myśl kokotki.

— Ciekawa jestem, czego te gazety tak zajmują się handlem żywym towarem i oburzają się na tych, którzy mu się oddają... Ze mną dotąd żaden mężczyzna nawet się jeszcze nie targował!...

Po reducie.

— Mój Boże, jak to już teraz wszystko fałszują! Na ostatniej reducie miała moja narzeczona być w kostyumie *Butterfly*, a pokazała się tylko w ubraniu *Margarinefly*.

---

wyborny pomysł! Że też to wy kobiety macie zawsze takie genialne myśli...

I pan Antoni wraz z panną Dziunią zaczęli układać cały plan tego porwania, a gdy podali sobie ręce na pożegnanie, panna Dziunia uśmiechnęła się uroczo:

— Pamiętaj więc! dzisiaj!...

— Tak! zaraz po północy!...

* * *

Głęboką ciszę ciepłej wonnej lipcowej nocy przerwał głos zegaru wydzwaniającego dwunastą godzinę.

Raz... dwa... trzy... wybijał zegar donośnie, gdy wtem zdala dał się słyszeć turkot powozu i tentent koni. Coraz wyraźniej go słyszeć można, nawet rozróżnić głos woźnicy rozmawiającego z gościem. Nagle koło willi rodziców panny Dziuni wszystko ucichło.

Przed bramą ogródka okalającego willę pojawił się jakiś cień. To pan Antoni.

Dotknięta jego ręką furtka, ta furtka, którą „dwunastu zbójców w jednej osobie" sam zawsze jak najdokładniej na klucz zamykał, niby zaczarowana otworzyła się i pan Antoni jednym skokiem stanął przed willą.

W tej chwili na pierwszem piętrze otworzyło się okienko i jakiś ciężki przedmiot spadł u stóp pana Antoniego, który szybko podniósł go z ziemi.

Był to klucz od głównych drzwi wchodowych willi.

Pan Antoni szybko otworzył nim owe podwoje i zniknął w głębi willi.

Po kilku minutach dwie tajemnicze postacie ukazały się przed domem.

— Najdroższa! teraz już jesteś moją! na wieki moją — szeptał pan Antoni tuląc pannę Dziunię w uścisku.

Nagle dreszcz wstrząsnął jego ciałem. Wśród ciszy nocnej dosłyszał skrzyp drzwi, prowadzących na balkon i szelest sukni...

W górze na balkonie, oświeconym blaskiem wyłażącego z poza chmur księżyca, widać było jakąś zamaszystą postać kobiecą. Tak! to „stujęzyczna hydra" z jakiemś zawiniątkiem w ręku przechylała się przez balustradę balkonu.

— Jesteśmy zgubieni! — jęknął pan Antoni — wszystko odkryte!...

A w tej samej chwili „stujęzyczna hydra" zaczęła wołać cicho, ale tak, że nawet przestraszony pan Antoni to dosłyszał:

— Dziuniu! Dziuniu! wróć się, zapomniałaś przecie zabrać swą nocną koszulkę!...



Do Towarzystwa antigruźliczego.

Ażeby cię popierano,
Masz impertynencyę,
A na czele swojem stawiasz
Znaną Ekscellencyę.

Mówisz, że nie zważasz całkiem
Na krzyki „ulicy“ — ....
To dowodzi, że masz sama
Początki gruźlicy.

Wkrótce zginiesz na suchoty,
Choć masz cel tak śliczny,
Bo nikomu drwić nie wolno
Z opinii publicznej.

Poradź swemu prezesowi,
Co tak głośno słynie,
Aby szpital dla gruźliczych
Założył... w Rydzynie.

Z prawniczych kwestyi.

Znakomity nasz kompozytor, pan Basetliński, znajdował się właśnie na generalnej próbie swej najnowszej operetki „Piwo grzane ze serem“, gdy wtem pojawił się w orkiestrze egzekutor sądowy i nie mogąc nic innego zająć, gdyż kompozytor znany jest z golizny, przypominającej przysłowiowego świętego tureckiego, oświadczył, że zajmuje partyturę na rzecz wierzyciela. Apollo nie opuścił jednak mistrza w krytycznej chwili, ale natchnął go świetnym pomysłem, Basetliński z ręką na sercu przysiągł, że partytura jest cudzą własnością i w ten sposób umożliwił wystawienie swego natchnionego dzieła.

U lekarza chorób kobiecych.

Pacyentka (oczekując na wyjście swej poprzedniczki z gabinetu lekarza): Ciekawa jestem, dlaczego ona tam tak długo siedzi... czy jest rzeczywiście chora, czy też taka przystojna?...

Niepotrzebny skrupuł.

— Wybieram się z Wackiem na redutę, nie wiem jednak, czy wziąć maskę, boję się bowiem spotkać tam mego męża.. Chociaż zdaje mi się, że niepotrzebnie się obawiam, wychodzimy z domu dopiero po jedenastej, a do tego czasu mój mąż, choćby tam był nawet, tak się upije z pewnością, że mnie absolutnie nie pozna.

Sielanka.

— Wojtek! Ty powiadasz, że ja cię nie kocham!... A dlaczegóż wybrałam sobie najbogatszego z gości, co tu przyjeżdżają na lato, aby płacił alimenta, jak nie dla tego, że cię kocham i chcę, aby ci na niczem nie zbywało...

Złośliwy.

— Kto jest ta pani, z którą pana wczoraj wieczór spotkałem?
— Moja siostra, panie radco dobrodzieju!
— Tak?... A gdzie się pan z nią poznał?

W szkole.

Nauczyciel: Czem kontentował się Dyogenes?
Uczeń: Beczką!
Nauczyciel: Co zasługuje w tym wypadku na szczególniejszą uwagę?
Uczeń: Że była próżna!...

Nieporozumienie.

Do państwa X-ów zgłasza się nowa pokojówka, którą pani domu wypytuje o poprzednią służbę.
— Byłam u państwa mecenasów na Grodzkiej za mamkę! — brzmi odpowiedź.
— To Kasia miała dziecko?
— Nie, proszę pani dobrodziejki, pani mecenasowa miała!...

Między urzędnikami.

— Co? Ty jesteś jeszcze w czynnej służbie?
— Naturalnie! Nie widzę już, nie dosłyszę także, jestem połowicznie porażony, cóż więc robiłbym na pensyi?...

Po śmierci Rotszylda.

W dniu, w którym po Wiedniu rozeszła się wieść o śmierci barona Alberta Rotszylda, stał przed pałacem milionera jakiś ubogo ubrany żydek galicyjski (podobno jeden z członków deputacyi szynkarskiej) i rzewnie płakał. Portyer pałacowy, zdziwiony tą czułością nieznajomego, zbliżył się doń i zapytał uprzejmie:
— Przepraszam pana! Czy nie można wiedzieć dlaczego pana tak obeszła śmierć pana barona?... Czy pan jesteś może blizkim jego krewnym?
— Nie, panie! — odparł zagadnięty, głosem przerywanym płaczem. — Ja płaczę właśnie dlatego, że nie jestem jego krewnym!...

Nowe przekleństwa.

— Obyś kolega zyskał sobie jak najrozleglejszą praktykę lekarską, ale... w Mandżuryi.

* * *

— Życzę ci, abyś zeszedł na to, byś musiał spisywać nazwiska wszystkich tych fabrykantów, których maszyny do pisania są j e d y n i e n a j l e p s z e w świecie.

* * *

— Obyś dostąpił zaszczytu spotkania się z królem angielskim... w sali sądowej.

* * *

— Bądź tak wytrzymałym, jak nowy most na Wiśle...

* * *

— Obyś jak najprędzej był tem, czem jest dzisiaj nieboszczyk baron Albert Rotszyld!...

Z „Koła polskiego“.

Pan Szajnowicz głośno twierdzi,
Że Stapiński mocno śmierdzi,
Z drugiej strony Fidler, Paduch
Robią w Kole wielki zaduch.

Te i owe więc gazety
Krzyczą ciągle: gwałtu, rety!
A tu nie pomoże krzyczek,
Gdzie potrzebny pud trociczek!

ooo

Trudne położenie.

Dwu przyjaciół, Aron i Chaim, wybrali się razem do Tarnowa na jarmark i zamieszkali tu w jednym pokoju, o jednem tylko łóżku, na którem w żaden sposób nie mogli się pomieścić. W nocy Aron budzi się i widzi Chaima stojącego przy łóżku.
— Dlaczego ty nie śpisz? — pyta ciekawie.
— Ja śpię! Wstałem tylko dlatego, aby się przewrócić na drugi bok, na łóżku bowiem niema na to miejsca! — odparł Chaim.



Do Justyny.

(Z niewydanych poezyi Karpińskiego).

Justyno! Nie chmurz oblicza,
Jeśli ci życie me miłem,
Zwróć na mnie boskie oczęta,
A nie obracaj się tyłem.

Ja ci maliny przyniosę,
Czuciem obdarzę cię słodkiem,
Lecz pokaż swoje oblicze,
Ach! obróć się do mnie przodkiem.

Nie żądam tego na wieki,
Lecz nim powiążą nas śluby,
Chciałbym od rana do zmierzchu
Przed sobą front twój mieć luby.

Bo gdy mą żonką zostaniesz,
O czem oddawna tak śniłem,
To sam cię nieraz poproszę:
Justyno! obróć się tyłem!

Mądre zdania zakatarzonego.

Znam mężczyzn, dla których o s t a t n i a w o l a żony była świętą, choć przedtem lekceważyli sobie wszystkie ich życzenia.

* * *

Pantofel gniecie czasami dotkliwiej, niż trzewik.

* * *

Trzeba być głupkowatym, aby mieć zaopatrzenie na starość, dla mądrych ludzi nie zakłada nikt schronisk.

* * *

Przy ołtarzu zmienia się obrączki, niekiedy także i role.

* * *

Wielu adwokatów, długi proces — wielu lekarzy, krótki proces!

* * *

Lekkie zapomnienie u kobiety sprowadza niekiedy bardzo ciężkie następstwa.

* * *

Kobieta powinna być czystą jak woda źródlana, nigdy jednak tak, jak ona, wiecznie szemrzącą...

* * *

Miłość może być niekiedy bardzo rentownem przedsiębiorstwem... Znam kobietę, której przynosi ona wcale pokaźne dochody!

* * *

Nie kupuj nigdy starych ubrań, raczej zostawaj zawsze winien za nowe.

* * *

Jeśli ci ktoś pożyczył pieniędzy, nie bądź tak niedelikatnym, byś mu miał o tem przypominać!...

* * *

Lubię ogromnie czarne pończoszki... zależy tylko od tego, co się w nich mieści.

* * *

Gdy się stary facet ożeni z młodą panienką uważają to za zbrodnię. Jeśli jednak ma on młodego kuzyna, jest to okoliczność łagodząca.

* * *

W miłosnych sprawach przedkładają kobiety tego, który rabuje brutalnie, nie gniewają się nigdy na tego, który kradnie, gardzą jednak z zasady tym, który prosi!...

* * *

Im mężczyzna częściej i więcej zwycięża, tem staje się słabszym.

* * *

Miłość robi ślepym, ale tylko mężczyznę.

* * *

Nie powinno się nikogo uważać za szczęśliwego przed śmiercią... zgryźliwej i zazdrosnej żony.

BIERNY OPÓR.

Opór bierny nie istnieje
Li tylko w Tryeście,
Mamy pyszny jego przykład
Nawet w naszem mieście.

Doktór X. ma żonkę młodą,
Która stroje ceni,
Lecz cóż z tego, gdy małżonek
Węża ma w kieszeni.

A więc pani lekarzowa
W sposób dość misterny
Wprowadziła w swoim domu
Znany opór bierny.

Rano czeka mąż godzinę,
Nim dadzą śniadanie,
A służąca dwie godziny
Czyści mu ubranie.

Chce o drugiej zjeść obiadek,
Ale to są żarty,
Bowiem wazę dają na stół
Punkt o wpół do czwartej.

I tak wszystko przez dzień cały
Do samej kolacyi,
Że o mało mąż nie pęknie
Codzień z irytacyi.

Wreszcie idąc do łóżeczka
Mówi: choć spać duszko!
Ale żonka konferencyę
Prowadzi ze służką.

Potem długo włosy czesze,
Długo pchełki łapie —
Aż mąż, serca jej spragniony,
Zasypia i chrapie.

Lecz dziś pono mąż zwalczony
Do modniarki bieży,
Więc wieczorem wszystko będzie
Tak, jak się należy.

Nareszcie zrozumiał.

Pan Stanisław był bardzo sympatycznym i jak to mówią „na miejscu“ młodzieńcem, cieszył się też wielką wziętością w najszerszych kołach płci pięknej. Wszystkie Manie, Jadzie, Stefcie, Zosie i jak się tam jeszcze nazywają inne przedstawicielki niewieściego rodu w Krakowie, wzdychały serdecznie do pana Stanisława, coż kiedy ów przystojny chłopak był także i ogromnie nieśmiały. Przyjaciele nazywali go nawet wrogiem płci pięknej, właściwie jednak niesłusznie, pan Stanisław był bowiem szczerym jej wielbicielem, nie mógł się jednak zdobyć nigdy w należytym czasie na krok stanowczy, stąd też niejedna sposobność, z której mógł skorzystać, pozostawała niewyzyskaną.. Chęci jednak miał zawsze dobre, co najwyżej spaźniał się o kilka minut, z których korzystał zwykle kto inny...

Tak samo stało się w ubiegłym sezonie w Krynicy. Pan Stanisław poznał tutaj bardzo apetyczną słomianą wdówkę i zawiązał z nią stosuneczek, na razie platoniczny, spodziewał się jednak, że z czasem przybierze on bardziej realne kształty, gdyż piękna córa Ewy, przyjmowała chętnie jego czułe spojrzenia i zdawała się nawet go ośmielać... Z dnia na dzień „pogrążał“ się pan Stanisław coraz bardziej, wreszcie zdecydował się nareszcie na krok stanowczy...

Obydwoje zapuścili się razem w czasie przechadzki w cienistą aleję parku zakładowego, rozmawiając o wszystkiem i o niczem, ot, jak zwykle zakochani, gdy wtem pan Stanisław odważył się objąć ręką kibić pani Stefanii i wyszeptał:

— Aniele! Kocham cię ponad siły! Bez ciebie żyć nie mogę! Jeśli mnie nie wysłuchasz, dziś jeszcze odbiorę sobie życie!...

Pani Stefania była wielką przyjaciółką rodzaju ludzkiego, nie byłaby też w stanie stać się przyczyną śmierci człowieka i to do tego młodego i przystojnego, nie odpaliła go też *a limine*, ale wytłumaczyła, że jako mężatka musi uważać na siebie, na długie języki przyjaciółek, słowem dała mu do poznania, że właściwie zamiarom jego nie jest przeciwną..

— Więc pozwolisz mi aniele, bym cię dziś wieczorem odwiedził w twem pomieszkaniu?... Postaram się, że nikt mnie nie zobaczy! — wybuchnął rozkochany młodzieniec.

— Na to się absolutnie nie zgadzam! — odparła spokojnie pani Stefania — Właśnie wieczorem może przybyć mój małżonek, gdyż o tym czasie nadchodzi pociąg od strony Krakowa, a tym on zawsze przyjeżdża! Boże!... Co on by powiedział, gdyby pana zastał u mnie?!...

— Ha! Spaliło znowu na panewce!... — pomyślał sobie pan Stanisław i skierował rozmowę na pogodę, ostatni reunion i ploteczki deptakowe, w których pani Stefania, jak każda nieodrodna córa Ewy, lubowała się nadmiernie...

* * *

Od tego czasu minęło kilka miesięcy, panu Stanisławowi skończył się urlop, powrócił więc do Krakowa, podążyła tamże i pani Stefania, oczekiwana przez swego kochanego męża i jak twierdzą złośliwi całe grono wielbicieli.

Pewnego pięknego popołudnia spotkał pan Stanisław swój krynicki ideał na plantacyach w towarzystwie szykownego porucznika od inżynieryi, który nie wyglądał wcale na męża owej piękności, raczej na jej przyjaciela domu. Nie mogło mu się to jednak jakoś w głowie pomieścić, aby tak skromna w Krynicy niewiasta miała być inną w Krakowie, pogodził się więc z myślą, że to zapewne jej blizki krewny, może nawet brat rodzony i nie dopuścił do serca owego paskudnego uczucia zazdrości, które już niejednemu wtrąciło w rękę broń samobójczą...

Szczęście, czy nieszczęście chciało, że odtąd pan Stanisław spotykał bardzo często ową parkę na plantacyach, na Błoniach, w Parku Jordana, raz nawet, ale na to nie byłby przysiągł, gdyż może go oczy myliły, wychodzącą z jednego z mniej renomowanych hoteli...

Zwolna i w jego serce wdzierać się poczęła zazdrość, ale tymczasem zdarzyło się, że pewnego pięknego wieczora spotkał swą ubóstwianą przechadzającą się samotnie w okolicy pomnika Lilli Wenedy i nie mógł tego naturalnie przenieść po sobie, by jej nie zaczepić...

Powitała go nader serdecznie i rozpoczęła z nim przyjacielską rozmowę, w czasie której dowiedział się, iż ów młody oficer jest jej przyjacielem...

— A mnie, to pani w Krynicy tak nielitościwie odepchnęła od siebie! — zauważył z goryczą.

— Kto? Ja?! — odparła na to pani Stefania z uśmiechem.

— Tak! Pani!... Przecież powiedziałaś pani wyraźnie, że nie możesz mnie przyjąć, gdyż *wieczorem* może twój mąż przyjechać...

— Naturalnie! Tak powiedziałam, bo tak mogło się stać rzeczywiście, ale chciałem ci dać przez to do poznania, że masz na to *cały dzień* dość czasu...!

* * *

Pan Stanisław zrozumiał wreszcie o co chodzi, od tego czasu pozbył się owej nieśmiałości i jest dziś najszczęśliwszym z ludzi. Pani Stefania dorzy go niepodzielnie swem uczuciem, gdyż oficera przeniesiono do innego garnizonu, a czcigodny jej małżonek tak przywykł już do rogów, że mu one wcale nie zawadzają!...



Dzień 23. lu'ego na Kazimierzu.

(Autentyczne).

Pan Dawid Holländer, na Kaźmierzu kupiec,
Ma mądre kepełe, bo on nie jest głupiec.
Trzydzieści dwa lata żył z żoną w przyjaźni,
Ale żaden wdzięk jej dziś go już nie drażni.
Za to piękne Rózie, kasyerka ze Lwowa,
Serce mu złapniła i przy sobie chowa.
Więc Dawid do żony rzecze: „Moja Sara,
„Ty już trochę śmierdzisz, bo już jestesz stara,
„Ja sze kocham w Rózie, a z tego powodu
„Poczebujesz zemną chodżycz do rozwodu“.
Ale panią Sarę to nic nie obchodzi,
Więc woła: „Cy Dawid, ty szwinia, ty złodżyj,
„Ty krwawy morderca mojej niewinnoszczy!
„Ja ci nie pozwalam na takie podłoszczy!...“
Strapiła Dawida taka awantura,
Więc od lubej żonki zapragnął dać nura.
Spakował manatki, chce wyjechać w nocy,
A Sara sąsiadów wzywa do pomocy.
Więc przyleciał krawiec, przybiegły śledziarki,
Trafikant, sklepikarz, szewc, cztery wekslarki.
Stary parasolnik, dwie „takie dziewyce“...
Zrobiał się harmider na całą ulicę.
Wkrótce się zebrały tłumy takie liczne,
Że aż „bezpieczeństwo“ wezwano „publiczne“.
Lecz trzej policaje nie mogli poradzić,
Musiano Swolkiena ze sztabem sprowadzić.
Kopa policyantów, pięciu komisarzy
Stanęło na życia Holländera straży.
Przybyła „konnica“, przybyli „ajenci“,
Nowotny ze strażą, wiceprezydenci..,
Dzięki takiej sile, wyszedł Dawid cało,
A stronnictwo ładu okryło się chwałą.
Ale chociaż cało wyszedł nasz Dawidek,
Na szczere współczucie zasłużył ten żydek.
Chciał swego więzienia odsunąć zasuwy,
A tu go przykuto do starej żydówy,
I miast się unosić na skrzydłach miłości,
Musi rytualne pełnić powinności.
Stąd dam ci naukę żydowski człowieku:
Nie żeń-że się głupcze w młodocianym wieku.
Cóż, że dość paliwa będzie miał twój tender,
Gdy stara maszyna... Przykładem Holländer.

W podróży.

Młody elegancki facet wchodzi do wagonu kolejowego, w którym siedzi już należycie podstarzała, ale wyróżowana i wydekoltowana dziewica... (tak przynajmniej wyglądała na pierwszy rzut oka!)

— Panie konduktorze! — woła młodzieniec — a czy jest w przedziale aparat alarmowy?

— A na cóż on panu dobrodziejowi potrzebny?

— Uważa pan, chciałbym go użyć w razie, gdyby tej pani zachciało się w drodze zabawić się w zanadto czułą!...

Ostrożny.

— Dlaczego nie pozwoliłeś swej żonie pójść na bal maskowy?

— Nie chciałbym, aby przyzwyczaiła się przemawiać do innych mężczyzn *per ty*.

Rzeźnik u pośrednika małżeństw.

— Powiadam panu, że ta panienka ma ośm tysięcy koron?... Hm... Tak na oko licząc, ma ona około ośmdziesiąt kilo żywej wagi, kilo wypadłoby więc zaledwie po sto koron... Nie, panie! To mi się nie opłaci!

Filozofia pięknej pani.

Mąż mój powiada, że szczyt mądrości życiowej mieści się w zdaniu: Poznaj siebie samego... Ciekawa jestem, czy też ów filozof, który tę maksymę wymyślił, znał już lustro, i czy często w nie spoglądał?...

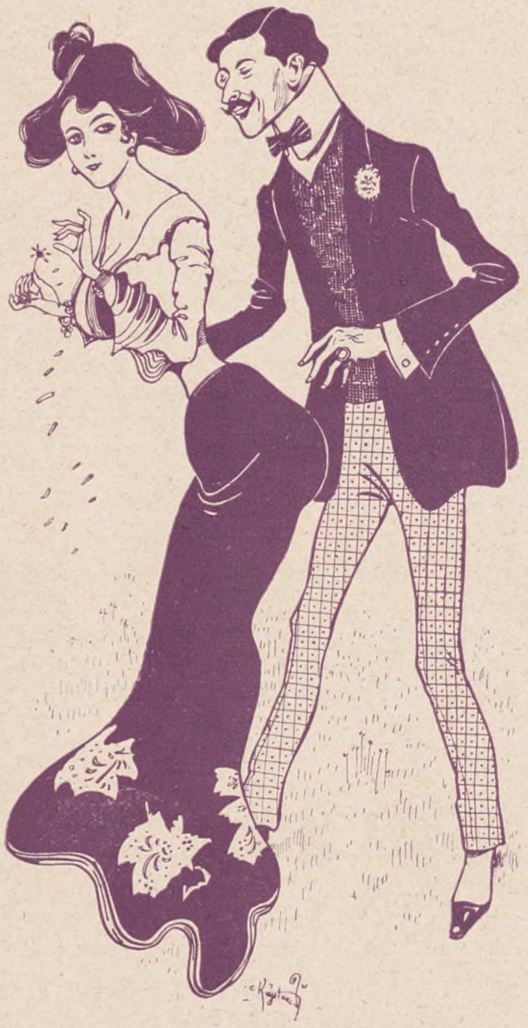


— Powiada jakiś filozof, że praca osładza nam życie. Ja przecież przekonałam się, że i próżniactwo ma swoje dodatnie strony...



— Więc nie byłaby pani od tego, by poświęcić bodaj z godzinkę na przyjemną rozmowę, tak we dwoje...

— Ależ i owszem!... Byle nie z panem!



— Czy mogę ci pomódz moja żonusiu przy rozbieraniu się?

— Przy rozbieraniu i ubieraniu możesz się jeszcze zdać na co, pozatem jednak jesteś do niczego, niedołęgo!



— Oszukiwałam pana! Przyznaję!... Możesz pan jednak zrobić to samo, a będziemy wówczas kwita...

— O, nie! moja pani! To byłby pojedynek, ale na nierównych warunkach!



— Sądzi pan więc, panie reżyserze, że ja mogę liczyć na karyerę sceniczną?

— O ile mogłem się dotąd przekonać, to pani ma rzeczywiście talent!

— W takim razie dzięki Bogu! Mama moja powiedziała bowiem, że w razie, gdybym nie miała talentu, byłoby może lepiej, gdybym została cnotliwą...



— Weź mnie kiedy ze sobą do waszego klubu!

— Ależ moja droga! Tam toczą się dyskusye o wolnej miłości i innych podobnych rzeczach!...

— To zupełnie tak samo jak w naszem Stowarzyszeniu równouprawnienia kobiet...



— Czy to nie szkoda czasu na to rurkowanie i zapiekanie loków?... Jestem pewny, że gdy za godzinę powrócisz z tej lekcyi śpiewu, cała fryzura będzie zmierzwiona do niepoznania!



— Boże! Gdybym w tym kostyumie mogła pójść na redutę prasy, zrobiłabym furorę...! Rozrywanoby mnie po prostu!...



Ferdek Eleuteryk.

Dzienki Opatrzności jakoś szczenśliwie, choć most na Wiśle zrobiuł wywrócenie, skończyliśmy karnawoł i jezdeśmy już jednom nogom w wielgim poście, a czas był najwyższy, nasze bowiem brzany, tak tłuste, jak i chude, młode i stare, niewinne i uświadomione, tak sie wyhulały, iż nie czujom nogów, a kużden żgoc czyli gawer, co mo w domu jakowomś kubite, ile razy wzoli grabe do doliny, nie znajdzie w nij nijakich hopów, ino ordynarne płótno, abo nawet i dziure. Dobrze chocioż, że ustały już mrozy, wienc rozszyrzony Krakowianin posyło bodaj swoje jesiotry do zastawu, aby dostać kilka fajgli, ostatki bowiem zeszły sie z kuńcem misionca, a wtedy w całym Krakowie panuje zawsze całkowite zaćminie kieszeniowe, widzialne na całym obszarze naszyj kochanyj i wyasfaltowanyj ojczyzny.

Ale, że u nas pogoda jest zawsze tako, jak humór młodyj brzany, to jest, że ona furt grymasi i nigdy jij nie jest recht, możesz brachu być spodziwajoncy, że bedziemy mieć jeszcze śnig, mróz, ślizgawke i sanki, co sie przyczyni do urozmaicynio zabawy na Zielone Świontki na Bielanach. Nie bedom może z tygo brzany kuntentne, bo one przyzwyczaiły sie w tym czasie na letnie wywczasy na zielonyj trawie, trudno jednak rada, głowom muru nie przebijesz, choćby była nawet tako twardo jak żelazo na nowym moście, który i tak sie zawaluł.

Co do karnawału, który niech odpoczywo w pokoju wiecznym, to możemy powiedzieć, że udoł sie klawo. W żadnym jeszcze roku nie fikały brzany tak siarczyście, widać wienc, że z nami nie jest jeszcze tak źle, jak niektórzy som mówioncy, skoro mamy humor i ochote do zabawy. Swojom ulicom bedzie w wielgim poście niejeden gorzkie roniuł ślozy, gdy przyńdzie płacić weksle za różne kiecki i ozdópki dla brzan. Jakoś przecie sie nie damy i pokryjemy deficyt, tak jak gmina miasta Krakowa zawdy jest robionca „z wienkszyj zaciongnoć sie majoncyj pożyczki“. Gdyby to choć nieboszczyk Rotszyld był nom co zapisoł, choćby ino lotygo, że my jigo pobratymców tak kochomy, iż nazywajom Galicyje ziemiom obiecanom...! Ale i on zrobiuł do nas perskie oko!

Na ogół możno powiedzieć, że krakoskie brzany napracowały sie w tym roku, jak nigdy, a pracowały nogami dla dobra suchotników, murzynów, dziennikorzy, dzieci skrofulicznych i kto tam wi, dla kogo jeszcze. Koż dzisioj brzanie stanonć do mazura, to choć kościół zakazuje, a pedałami ledwie włóczy, podegnie kiecke i gotowo do apelu! Naturalnie ino na cel dobroczynny! Powidz którÿj jednak, żeby zamiast fikać, dała kilka hopów, bo bedzie winkszy pożytek, a tak cie zeklnie, że nie bedziesz wiedzoncy, w którom mosz być strone wytyke urzondzajoncy.

Nie zdało sie jednak na wiele owo karnawałowe fikanie, bo jak mi mówiół woźny od mijskij statystyki, ruch małżeński w tym roku był daleko słabszy niż po inne lata, a popyt na targu matremonialnym mnij ożywiony. Zupełnie tako samo historyja jak z ochłapami z Argientyny, do których my wzdychali i oblizowali sie na samo wspomninie, a gdy już przyjichały, nikt nie chcioł kupować i zrobiła sie tako klapa, jak nie przymirzajoncy z kanałami, abo nowym mostem... Jedni godali, że minso to było za tłuste, a krakoskie brzany som znowu zanadto chude, faktem jest, że minso nas nie zadowoliło, a brzany zostały po wienkszyj czenści i nadal staremi pannami, bedom wienc furt na los garbaty narzykajonce i myślonce nad równouprawniniem obu pci, aby roz gawer, drugi roz znowu brzana mogła być na górze...

Ciekawy jezdem ino, poco majestrot sprowadzo drugi transport argientyńskich flaków, skoro z pirszym było tyle kłopotu. Jeźli były za tłuste, niech se je ta jedzom Szwoby we Widniu i nabawiom sie zatłuszczynio serca, gdy zaś bedem mieli dość, nie bedzie potrzeba dowozić minsa z Galicyi, wienc wtenczas nasze golibyki bedom musiały popuścić w cynie i jedynie wtedy moglibyśmy mieć jakowyś prefit z onygo jenteresu. Tysiąc kilo dla Krakowa, to figa, abo psu mucha, wiencyj z niemi kłopotu, niż może być z nich pożytku.

Ale, co tam mamy być sobie głowe zawracajoncy jakiemiś flakami, abo brzanami, które dalij w państwie bedom żywot prowadzonce. Kużdy rozszyrzony Krakowianin (jo tam nie chwaloncy sie skurczułem sie, bo mi zimno i nimom hopów) myśli teroz o tym, jakby wliźć do Rady mijskij, bo za pare tygodni bedom nowe wybory, tym razem jeszcze bez brzan, bo regularności wyborczyj dotond nie uchwalono. Hijeny wyborcze zaczynajom już grasuwać po całym Krakowie i wenszom za trupami. Bialik, Graboski, Kurkiewicz i Satalecki przygotowujom dymokratycznom kiełbase wyborczom, a kuźdy kandydat zrobiuł sie takim patrejotom, że nawet kiedy śpi, to mu sie śniom gronty poportkifikacyjne i jensze autonomiczne delikatesy.

Kandydowołbym i jo, bo mom nawet napisanom już kryde poletycznom, którom podyktowoł mi woźny od Towarzystwa dymokratycznego, nie wiem ino, z który sie mom zgłosić dzielnicy, bo olejandry zalała Wisła, wienc lokatory wyprowadzili sie do miasta i nijak nie jezdem mogoncy zwołać ich na przedwyborczom kire. W kuźdym razie zawiadomiom zwolenników mojej kandedatury, że urzondziułem biuro agitacyjne za sobom samym w lokalu Siapsi, gdzie kuźdy może mnie spotkać w godzinach urzendowych, to jezd mindzy ósmom rano a wieczornym fajeramtem, bo i jo robie teroz żmude czyli bierny opór i przestrzegom ściśle godzin urzyndowania.

Najgorszo historyjo, że pono i krakowskie brzany, te które w karnawale nie wyszły za monż, ogłaszajom bierny opór wobec menszczyznów, bedziemy wienc w niedalekij przyszłości mieć cienżkom prace... jo sie jej ta jednak nie boje, bo jo jezdem:

Krowoderski zuch,
Choć mom wielgi brzuch,
Wybiercie mnie na radcego,
Nie pożałujecie tego!...



Nie udało się!

Pan Abeles, biedny żydek z małego galicyjskiego miasteczka, przybywszy do Krakowa za interesami, kręcił się po mieście i nareszcie znalazł się na plantacyach. Tutaj poczuł, że pchły tak go gryzą w plecy, iż absolutnie nie mógł sobie dać rady. Oparł się więc o drzewo i począł się trzeć, o podrapaniu ani mowy nie było, nie dostałby tam ręką.

Na to nadszedł jakiś elegancki jegomość, a widząc co się dzieje, zapytał żydka, o powód. Gdy ten opowiedział, zlitował się nad nim i jego nędzą, zaprowadził go do domu i dał mu nowe ubranie i pięćdziesiąt koron.

Pan Abeles opowiedział o tem swym przyjaciołom, którzy pozazdrościli mu powodzenia, a dowiedziawszy się, gdzie ów dobroczynny jegomość mieszka i o którym czasie do domu powraca, stawili się punktualnie w pobliżu jego mieszkania i przy jego zbliżaniu się poczęli trzeć plecami o drzewa.

Jakież jednak nieprzyjemnie ogarnęło ich uczucie, gdy ów rzekomo dobroczynny jegomość z podniesioną laską w dłoni skoczył w ich stronę i zawołał:

— Paszoł won, łajdaki! Precz mi z przed oczu! Każę was natychmiast zamknąć!...

Odważniejszy Kohn, zdejmując pokornie kapelusz, zwraca się wówczas ku niemu i pyta:

— Herr Puryclejben! Dlaczego pan dobrodżej tak się na nas gniewa, a Abelesowi to pan dał nawet pieniądze?

— Bo on był sam i nie mógł sobie dać rady, a was jest dwu i jeden może drugiego podrapać, jeśli go swędzi! — odparł nieznajomy.

Wesoła wdówka.

— No i cóż? Pocieszyłaś się już po śmierci nieboszczyka męża?

— Ja już, mój drugi mąż jeszcze nie!...

Tresowana pluskwa.

Do jednego z prowincyonalnych miasteczek w Galicyi zjechał jakiś podróżny i miał zanocować w jedynym miejscowym zajeździe, który nosił szumny tytuł hotelu. Gdy zapisywał swe nazwisko w księdze obcych, przez kartkę przeszła poważnie dorodna i dobrze wypasiona pluskwa. Gość odłożył pióro, popatrzył na gospodarza i sympatyczny okaz zoologiczny i rzekł po chwili:

— No! Czegoś podobnego nie widziałem jeszcze w mem życiu! Mieszkałem już w hotelach, gdzie nie można było nawet oka zamrużyć z powodu pluskiew, ale aby pluskwa zaglądała do księgi przyjezdnych, pod którym numerem gość stanie, to zdarza mi się po raz pierwszy i zapewne ostatni!...

Autentyczne facecye.

Dwaj przyjaciele, pan Roman i pan Hipolit wybrali się razem w podróż dla przyjemności. W drodze wypadł im nocleg w małej wiejskiej oberży, gdzie na kolacyę otrzymali całą gęś, którą się podzielili bardzo rzetelnie. Pan Roman miał wilczy apetyt, zjadł też natychmiast swą porcyę, pan Hipolit zachował swoją na jutro. W nocy budzi się pan Roman a czując szalony głód, zaczyna poszukiwać za resztkami wieczerzy przyjaciela. Szuka w jego kuferku, w kieszeniach jego ubrania, w łóżku, pod łóżkiem — gęś jakby zapadła się w ziemię, a widział przecież dokładnie, jak przyjaciel przyniósł ją ze sobą z restauracyi owiniętą w papier. Ponieważ przekonał się, że wszelkie poszukiwania na nic się nie zdadzą, zły, jak pies, położył się spać.

Gdy rano otworzył oczy, ujrzał przyjaciela siedzącego za stołem i obgryzającego z apetytem kości obronicielki Kapitolu.

— A gdzie ty swoją porcyę schowałeś na noc? — pyta zaciekawiony.

— W kieszeni *twojego* paltota! — brzmiała odpowiedź dowcipnego przyjaciela, który w ten sposób uratował swą porcyę.

* * *

Pan porucznik miał bursza, który był ogromnie niezgrabny. Ilekroć przyniósł kawę z cukierni musiał rozlać połowę na spodek i tackę, a to tak irytowało pana porucznika, iż obiecał, że zamknie go na tydzień do aresztu, jeśli się nie poprawi.

Skutek groźby był piorunujący. Nazajutrz cała porcya kawy była w szklance, ani kropla na spodku.

Pan porucznik ucieszył się, iż jego nauka tak skutkowała, a że nadto kawa smakowała mu, jak nigdy, w przystępie dobrego humoru dał burszowi koronę i kazał sobie opowiedzieć, w jaki sposób stał się nagle tak zgrabnym.

— Melduję posłusznie, panie poruczniku! — odparł Maciek — zaros w cukierni to jo upiłem troche, a gdym był juz pod drzwiami, tom te kawe napowrót wpuściuł do śklonki!...



List artystki krakowskiej do koleżanki lwowskiej.

Kochana Mańció!

Do nosze ci rze ci niemam co donieść bo u nas Bryndza a stary okrótnie ci po dupadł na chu może boboi sie rze mu bude spszed nosa hycom. Oże teras samemi krowientami a wy Sockij toci pożondnyj roli rzałóje tagże kobita wy chodzi z re gólarności sceniczny.

Acha! Chela ma teras jakiegoś ma laża co ci wirsze pisze, bo tera karzdy ma lasz malować nie umi a wirsze robi jak Mickiewic albo stro kowa. Otusz ten Ma lasz nie iest picuś glancuś ale ma gotiu ot swego starego i mieszka jak chrabia na re Toryce i ma for Tepian. Takci Chela co ma po dłom dziure na mikołajskij hciała ot ma liaża iżeby jei kópił nowy forte Pian. Napszut móci o tym ga dała a Potym List na pisa ła Aon ci ot Powiedział:

gdybyś ty grała moja panno
tobyś tymiała i forte piano
a jeśli słyszeć prag nież Muzyke
To walaj do mnie Na re Toryke
bo muj instróment hociasz nie świerzy
to całym Sercem do cie na lerzy.

Głópia Chela poka zywała wszystkim hoć ją nikt oto nie pro sił ten List i jestci checa bo karz dy sie iei pyta czy sie wybiera grać na nie świe rzym instrómencie.

Nic iósz Nimam dopi sania wienc ca łóje cie wdziu bek

tfoja szczy rze ko hajon ca

Ciuńcia.

Zuchwalec.

— Wiesz Zosiu! Ten fotograf, który sporządził mój portret wiszący tu nad otomaną, zrabował mi mą niewinność!...

— A czy ją także wyfotografował?...

W czasie mrozu.

Pan Leon spotyka na ulicy pannę Klocię, mającą nowomodny żakiet z futrem na wierzchu, futrzaną czapkę, wspaniałe boa, zarękawek i futrzane rękawiczki.

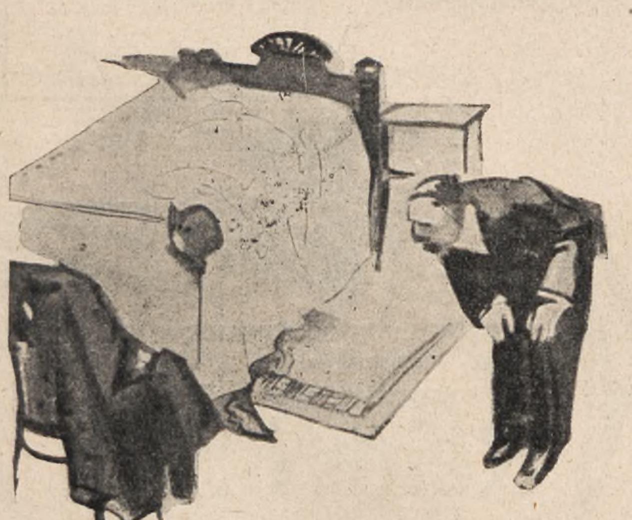
— No! Teraz pani chyba nie zmarznie, przy takiej ilości futra! — zauważył.

— A gdybyś pan jeszcze widział ile mam pod spodem! — odparła Klocia.

Ekskuza.

— Pfe! Nie wstydzisz się moja Maniu tak biegać po pokoju tylko w koszuli... Lada chwila może nadejść twój narzeczony... Gdyby cię tak zobaczył!...

— O! mamusiu! On mnie widział już i bez koszuli, a nie dziwił się wcale!...





Delikatna przymówka.

Pan Karol, obejmując serdecznym uściskiem swą wybraną:

— Najdroższa! Gdybym tak mógł ściskać cię całe życie!...

— Zdaje mi się — odpowie na to panienka — iż dla nas obojga byłaby w tym wypadku wygodniejszą pozycya leżąca!...

Dobry przykład.

— Powiedz mi, co to jest właściwie *reservatio mentalis?*

— Najlepiej wytłumaczę ci to na przykładzie. Gdy n. p. twoja żona wyjeżdża z Krakowa do krewnych na wieś i w chwili, gdy pociąg ma ruszyć, wychyli się jeszcze z wagonu i zapyta cię czule: — Kaziu, czy pozostaniesz mi wiernym?... — a ty naturalnie przysięgniesz jej na wszystkie świętości, że dochowasz wiary...

— No... i gdzież tu owa *reservatio?...*

— Jak na dłoni! Przecież ty przysięgając jej, dodajesz sobie w myśli: *dopóki pociąg nie opuści dworca.*

Różnica.

— Co?! Pan śmiesz się chwalić wobec swych przyjaciół, że byłam wobec ciebie więcej może niż po przyjacielsku usposobioną...

— Ależ, łaskawa pani! Ja właśnie nad tem tylko ubolewam!..

Rozczarowanie.

Ja byłam pewna, że on chce w mem towarzystwie zakosztować awanturek i przygód miłosnych, a tymczasem widzę, że ten osioł chce się ze mną żenić!...

Z BALÓW.

Na balu antigruźlicznym rozpoczął poloneza JE. hr. Antoni Wodzicki. Sprawozdawcy dziennikarscy pominęli zanotować kilka par dalszych. A więc w parze drugiej szedł hr. Henryk Potocki z p. Loewensteinową, w parze trzeciej Dr. Dziembowski z ks. Sułkowską, w czwartej dr. Loewenstein z panią Dziembowską. Między polonezem a walcem muzyka odegrała „Marsz sprzedawczyków“, utwór znanego kompozytora Klemensiewicza. Mazura prowadził hr. Korwin Milewski.

Na balu Towarzystwa Esperanto powszechną uwagę zwracały trzy pary katolickie. Ogólnie podobał się Majufes-walc i mazur Łachtiridibum.

Na balu kostyumowym Resursy urzędniczej, uświetnionym obecnością JW. prezesa Dattnera i JW. radcy Judkiewicza, do najpiękniejszych kostyumów należały: „Bryndza“, „Golizna“, „Pragmatyka służbowa“, „Zaliczka“ i „Dyscyplinarka“.

Na raucie dobroczynnym.

Hrabina Lola: Całus na rzecz biednych kosztuje u mnie sto koron, taniej absolutnie nie mogę!

Redaktor „Bociana“: A czy nie mógłbym prosić o egzemplarz recenzyjny...

Na linii A-B.

— Dlaczego Zośka patrzy na ciebie tak z pod oka?

— Bo odbiłam jej narzeczonego...

— Którego?...

— Karola!

— E... o ile ja go znam, to nie ma się na ciebie o co gniewać!...

Nie za dużo.

— Co, ty aż dwa listy miłosne posyłasz na ulicę Dietlowską? Czy masz tam dwie przyjaciółki?

— Alboż to może zawiele na tak długą ulicę?

Z recenzyi teatralnej.

...Wdzięki naszej debiutantki były już w ustach całej złotej młodzieży Wielkiego Krakowa...

Złapał się!

— Doniesiono mi, panie baronie, że stara się pan o moją Sarę tylko dla jej posagu!

— Ależ panie radco! Ja kpię sobie z pieniędzy...

— Ha... w takim razie ubolewam bardzo, ale córki mej tak lekkomyślnemu człowiekowi absolutnie nie mógłbym powierzyć!

Biedny mąż.

— No! Zapewne już moja Janko oczekujesz skutków miodowych miesięcy...

— Naturalnie!

— Spodziewasz się chłopca, czy dziewczynki?...

— Ani tego, ani tego!

— Tylko?!...

— Tylko... przyjaciela domu!

Niepocieszony.

— Panie Gajer! Z pańską żoną jest źle! Pan musi ją wysłać na kuracyę do Maryenbadu!

— Aj waj, panie dokter! Co mnie już kosztują te reperacye od zdrowie mojej żony! Za te pieniądze mógłbym sobie już sprawić nową!

Z mitologii.

— Cóż tam słychać z naszą Julką?

— Nic nowego! Dała obecnie dymisyę *Amorowi*, aby zająć się więcej *Merkurym!*





Ofiary mody.

— Sądzę jednak, że te nowomodne wązkie suknie muszą być bardzo niewygodne! One utrudniają ogromnie wolność ruchów...

— E... ktoby tam robił sobie co z tego!... W decydującej chwili zdejmuje się suknię i basta!

I to powód.

Dwu przyjaciół, pan Dawid i Majer, spotykają się ze sobą i rozpoczynają rozmowę o różnych drobiazgach.

— Majer! Ja słyszałem, że ty się ożeniłeś! — przerywa Dawid.

— Nu! To co z tego?!...

— A masz ty dzieci?

— Choć jestem już trzy lata żonaty, jeszcze nie, moja żona nie lubi wychodzić z domu!...

MUCHA, BĄK I PAJĘCZYNA.

Paducha, że zarobić chciał parę tysięcy
Od żydowskich szynkarzy — z Koła wyganiają;
Ekscellencyi, co zabrał tysiąc razy więcej
Za kurczenie ojczyzny — wszyscy się kłaniają.

Wygodny jegomość.

Linią A-B przechodzi w czasie ostatniego dwudziestokilkostopniowego mrozu pan radca cesarski Tintenfass, z przeciwnej strony zdąża zaś również dostatnio odziany jakiś obywatel, lecz nie należący do mojżeszowego wyznania.

Gdy się zrównali, nieznajomy przechodzień zwrócił się do pana Tintenfassa i zapytał uprzejmie:

— Przepraszam najmocniej, czy nie mógłby mi pan powiedzieć, która godzina?

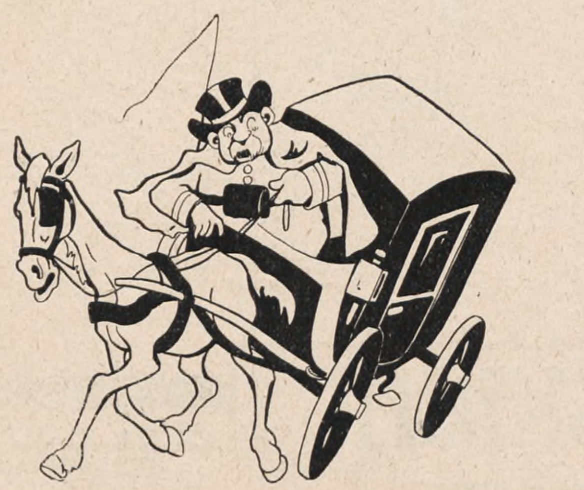
Pan Tintenfass przystanął, rozpiął futro i surdut, wyciągnął z kieszeni kamizelki zegarek, popatrzył nań i rzekł:

— Wpół do jedenastej!... A pan dobrodziej nie ma zegarka?... To mi dziwnem się wydaje!... Człowiek będący właścicielem tak pięknego futra... A może pański zegarek stoi?...

— Jest pan w błędzie, panie łaskawy! Mam przy sobie zegarek i wcale on nie stoi, zmarzłem jednak w ręce i nie chce mi się ich wyciągać z kieszeni. Dziękuję panu i żegnam!...

Na plantacyach.

— Ta facetka ma rzeczywiście wspaniałe łydki!... Jak uroczo wyglądałyby one na tle mojej otomany!...



Co mnie bolało?

(Obrazek z codziennego życia).

Hania była mym ideałem, nie pierwszym wprawdzie i nie ostatnim, kochałem ją bowiem dopiero od dwu miesięcy. I ona lubiła mnie bardzo i na każdym kroku dawała mi tego namacalne dowody, słowem stanowiliśmy dobraną parę, jakby wyciętą z obrazka...

I onegdaj spotkaliśmy się, jak zazwyczaj, na umówionem miejscu, ona wesoła i szczebiocząca, jak zwykle, ja jakiś ponury i zgryziony. Dopytywała się troskliwie, co mi dolega, milczałem jednak jak zaklęty.

— Chodź, chodź! Ty niedojdo! — zawołała z iskrzącemi oczyma — już ja postaram się, że się rozweselisz...

Poszliśmy... Mimowoli kroki nasze skierowały się w stronę Parku krakowskiego, skąd dolatywały skoczne tony dziarskiego marsza, w takt którego zwolennicy ślizgawki wycinali po lodzie wspaniałe holendry.

— Może wstąpimy? — zauważyła Hania mimochodem. — W bufecie zafundujesz po krupniku, a dobrze nam to zrobi, bo mróz, jak dyabli!...

— Kobieto! — zawołałem z oburzeniem — daj mi święty spokój! Kontent jestem, że ludzi nie widzę...

— Co się z tobą Felek stało! Doprawdy ja cię nie poznaję! Co ci jest?...

— Nie mogę ci tego powiedzieć! — odparłem z boleścią. — W każdym razie bardzo nieprzyjemna to historya...

— To wracajmy tramwajem do miasta...

— Ani myślę! Ja idę piechotą...

— No! No! Ani myślałam, że z ciebie taki mizantrop! — rzekła, śmiejąc się serdecznie. — Skoro jednak unikasz dziś ludzi, w takim razie może pójdziemy na herbatkę tutaj obok.. Jest tu nader zaciszna separatka, nikt nam nie będzie przeszkadzał...

— Kobieto! miej litość nademną! — zawołałem złamanym głosem.

Widząc, że ze mną dziś nie poradzi, pogodziła się biedna Hania z garbatym losem i mem zgryźliwem usposobieniem i przez cały dalszy ciąg spaceru starała się mnie pocieszyć, co jej się nawet po części udało. Kilkakrotnie namawiała mnie jeszcze, raz, bym kupił kilka pomarańcz, to znów bym zafundował sanki, któremi pojedziemy pod Kopiec, na tor saneczkowy, gdzie różni i różne, młodzież i starsi kręcą sobie karki i zbijają kolana, byłem jednak głuchym na wszelkie prośby...

Spacerowaliśmy tak już przeszło cztery godziny, mróz dokuczał nam porządnie, a nogi odmawiały posłuszeństwa, ja jednak, jakby party jakąś wewnętrzną gorączką, zachęcałem ciągle do dalszej drogi.

Obeszliśmy plantacye, Błonia, kilkanaście ulic i Rynek — Hania wreszcie oświadczyła, że jest znużoną i poprosiła, bym ją odprowadził do domu.

Stało się jak żądała.

Gdyśmy się już znaleźli pod bramą jej domu, pożegnałem ją, jak zwykle bardzo czule, a ona, głaszcząc mnie lekko pod brodę, zapytała ciekawie:

— No, mój Felu, może przecież bodaj na odchodnem powiesz mi, co ci dziś dolegało, żeś był taki jakiś nie swój i zgryziony?

— Teraz, naturalnie, moja droga! — odparłem i wyciągnąwszy z kieszeni tragicznym ruchem portmonetkę, pokazałem Hani jej wnętrze, w którem skromnie kryły się... trzy halerze i kwitek na bieliznę z pralni...

Zrozumiała poczciwa dziewczyna moją boleść, obrzuciła mnie współczującym wzrokiem, westchnęła cicho a serdecznie i znikła w bramie!

Załatwione.

— Przepraszam bardzo! Czy mogę mówić z panną Stefcią?

— To zależy od tego, w jakim interesie pan przybył!...

— Przeważnie w pieniężnym!

— O! To mi jeszcze nie wystarcza!... Można przyjść z pieniądzmi lub po pieniądze!

— Ja właśnie przyszedłem z pieniądzmi!...

— W takim razie możesz pan z panną Stefcią *nie tylko mówić!...*

Prawdziwe zdarzenie.

Jeden ze znanych antysemitów znalazł się raz w knajpie, gdzie przy stole zabawiało się trzech żołnierzy, dwu katolików, jeden żyd.

— Powiedzcie mi, moi kochani, cobyście uczynili, gdyby wam kazano do mnie strzelać?... — zapytał ów jegomość, przysiadłszy się do ich stołu.

— Naturalnie wypełnilibyśmy rozkaz! — odparli obaj katolicy.

— No, a pan? — badał dalej antysemita żydka.

— Ja, proszę pana, — odrzekł tenże — nie strzelałbym, bo ja jestem doboszem pułkowym!

Strajk łódzki.

Żę za małą mają płacę
Strajkują tu prowizorzy,
Z czego smucą się lekarzę,
Lecz się szczerzę cieszą chorzy.

Za to żony aptekarzy
Niekontentę są z tych sporów,
Bo niektórę nader żywo
Brak odczuły prowizorów.

Tylko wtedy aptekarka
Nię ponosi żadnej szkody,
Jeśli stary jest prowizor,
A aptekarz jeszczę młody.

Ale mało tak szczęśliwych,
Bo zazwyczaj tak się dzieję,
Żę prowizor, nię aptekarz,
Do flaszeczki syrop leję.

Stary grzesznik.

Pan mecenas, powróciwszy późno wieczorem z klubu do domowego ogniska, chwyta w objęcia pokojówkę, która mu otwiera drzwi i zaczyna twarz jej okrywać pocałunkami.

— Ależ pfe! panie mecenasie — broni się mała szepcząc, by się pani przypadkiem nie obudziła — gdyby to pani wiedziała, ze zgrozy i oburzenia obróciłaby się z pewnością... w łóżku!...

Pewny siebie.

Panna Lola: W tem miejscu, na którem pan stoi, klęczał wczoraj hrabia Zdziś!

Radca ces. Kohn: On sobie mógł, klęczeć, taki bankrut... Ja płacę wszystko gotówką!

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.



— I pan Karol był na tyle śmiałym, iż odprowadził panienkę wczoraj wieczór aż do bramy?
— Tak! Ja mu jednak powiedziałam zaraz, by sobie poszedł!
— A usłuchał?...
— Naturalnie!... Poszedł dziś rano!